

poniedziałek, 01.09.2025

„Aby żyć dla Boga” (Ga 2,19)

Mam na imię Kasia. Jestem juniorką w Zgromadzeniu Franciszkanek Misjonarek Maryi.

A jak to było z moim powołaniem?

Nie urodziłam się w welonie i habicie. Nigdy też nie marzyłam o byciu siostrą zakonną. Miałam zupełnie inne plany i marzenia. Kiedy zaczęły się spełniać, wcale nie przynosiły mi szczęścia. W moim sercu ciągle czegoś brakowało. Może to zabrzmiało zaskakująco, ale nie zawsze byłam blisko Boga. Około siedem lat temu – po piętnastu latach od odejścia od Kościoła – zaczęłam na nowo odkrywać, że Bóg naprawdę jest, i że jest Dobry.

Dopiero z perspektywy czasu widzę wyraźnie, jak Pan Bóg prowadził mnie przez różne wydarzenia – także te trudne – oraz przez ludzi, których stawiał na mojej drodze. On był przy mnie przez cały ten czas i mówił do mnie, choć zagłuszona codziennością nie potrafiłam jeszcze Go usłyszeć. Muszę przyznać, że miał ze mną niełatwe zadanie... Ale przecież „dla Boga nie ma nic niemożliwego” (Łk 1,37).

Punktem zwrotnym w moim życiu był sakrament pokuty i pojednania. Weszłam kiedyś do kościoła tylko na chwilę, żeby się pomodlić – to było wszystko, na co było mnie wtedy stać w kwestii pobożności. W sercu nosiłam wiele gniewu i niepokładanych spraw. Ukłękłam przy konfesjonale, choć nie potrafiłam nawet nazwać żadnego konkretnego grzechu. Kapłan zapytał mnie wtedy o moją relację z Duchem Świętym. Czy się do Niego modlę? Nie wiedziałam nawet, że powinnam...

Po tej niecodziennej spowiedzi zaczęłam modlić się do Ducha Świętego. I wtedy wszystko powoli zaczęło się zmieniać.

W tamtym czasie zmagalam się także z problemami zdrowotnymi. Mój tata prosił mnie wielokrotnie, żebym pojechała z nim na Mszę Świętą o uzdrowienie w pobliskim sanktuarium. Kilka razy odmówiłam, ale w końcu – trochę z przymusu – zgodziłam się, chcąc mieć to już „z głowy”. Dziś wiem, że to była jedna z najlepszych decyzji w moim życiu.

Podczas adoracji Najświętszego Sakramentu spotkałam Żywego Jezusa. Po policzkach płynęły mi łzy, ale w sercu czułam ogromną radość i pokój. Nic z tego wtedy nie rozumiałam. Najczęściej powtarzałam tylko: „nie wiem, co się ze mną dzieje, nic nie rozumiem”. A jednak – wracałam z tych spotkań szczęśliwa, z utęsknieniem czekając na kolejną Eucharystię. Czułam, że coś mnie do tego ciągnie.

Pomyślałam: mogę przecież zacząć chodzić w niedziele do kościoła – czemu nie spróbować? Ale szybko zrozumiałam, że to dla mnie za mało. Zaczęłam uczestniczyć w nabożeństwach, a potem w codziennej Mszy Świętej. Nie było to łatwe do pogodzenia z moją pracą w salonie kosmetycznym – często miałam nadgodziny i wracałam bardzo późno. Ale układałam plan dnia tak, by zawsze znaleźć czas na Eucharystię.

Zaczęłam też zgłębiać, czym tak naprawdę jest Kościół. Trafiłam w internecie na konferencje, które otwierały przede mną zupełnie nowe perspektywy wiary. Na jednej z nich usłyszałam o zawierzeniu się Maryi i o szkaplerzu. Pragnęłam naśladować Maryję, choć wydawało mi się to niesamowicie trudne. Na innej konferencji mówiono o tym, że można przeczytać całe Pismo Święte w rok. Pomyślałam: Challenge accepted! Zaczęłam od Starego Testamentu, ale szybko utknęłam na Księdze Liczb. Zupełnie nie mogłam przez nią przebrnąć.



Zrozumiałam, że potrzebuję pomocy kogoś, kto zna się na Piśmie Świętym. W moim otoczeniu nie było nikogo takiego. Nie znałam żadnego księdza... No, może jednego – kilka miesięcy wcześniej zamieniłam dwa zdania z wikarym mojej parafii. Postanowiłam poprosić go o pomoc. Od tamtej pory towarzyszył mi w moim duchowym wzrastaniu, aż do dnia, gdy wstąpiłam do zakonu.

Podczas lektury Listu do Galatów natrafiłam na fragment, który mnie zatrzymał i nie pozwalał iść dalej:

„Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus. Choć nadal prowadzę życie w ciele, jednak obecne życie moje jest życiem wiary w Syna Bożego, który umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie” (Ga 2,20).

Czułam, jakby czas się zatrzymał. Nie rozumiałam jeszcze sensu tych słów, ale czułam, że są ważne.

Kilka miesięcy później uczestniczyłam w tzw. pustelni franciszkańskiej, prowadzonej przez siostry FMM – to trzy dni ciszy i wsłuchiwania się w Słowo Boże. Tam właśnie usłyszałam, że te słowa z Listu do Galatów wypowiedane są podczas ślubów czasowych. Wtedy wszystko nabrało sensu. To właśnie na tej pustelni rozeznałam powołanie do życia zakonnego. Sama byłam w szoku. Trudno było mi się do tego przyznać nawet przed sobą, bo wiedziałam, że to oznacza zostawienie całego dotychczasowego życia. A przecież kochałam swoją pracę, byłam niezależna. Wydawało się, że mam wszystko i niczego nie muszę zmieniać...

Ale Bóg miał dla mnie inne plany. Modliłam się, by moja wola była zgodna z Jego wolą. I dziś, kiedy pozwalam Mu się prowadzić, jestem naprawdę szczęśliwa. Odkryłam w końcu to „coś”, czego tak długo mi brakowało. Teraz już wiem, jak to nazwać – to Miłość, która pociąga mnie ku Życiu!